

► a wynikają stąd, że dyskurs humanistyczny ma z natury swojej wymiar retoryczny, a zatem perswazyjny. Historia zamknęła rozdziały doktrynalnego scjentyzmu, a potem formalizmu – doktryn eliminujących z refleksji humanistycznej element dialogu (w sensie platońskim) badacza z uobecniającym się w dziele człowiekiem-autorem oraz dialogu badacza z odbiorcami jego rozpraw. Niezamknięty pozostaje rozdział koncepcji, które izolują wypowiedź humanisty od serwitutów społecznych: ideowych i etycznych. Wydaje się, że te właśnie tendencje spowodowały osłabienie (by nie rzec: zanik) autorytetu humanistyki i upowszechniające się poczucie jej bezużyteczności we współczesnym świecie. Profesorowie **Puzynina** i **Prokop** zwracają tu słusznie uwagę na doniosłość przekazu aksjologicznego. Pozwolę sobie dodać, że zagadnieniem otwartym pozostaje strategia retoryczna, która mogłaby – tu i teraz – zapewnić nośność komunikacyjną przesłania dotyczącego wartości duchowych jako elementu dziedzictwa kulturowego.

Co się zaś tyczy przyszłości humanistyki polskiej, to jest ona programowana przez obecną politykę naukową, która – jak świadczą wypowiedzi publikowane na łamach „PAUzy” – wzbudza silne kontrowersje. Wizja uniwersytetu jako szkoły nauk „stosowanych” ma swoje racje pragmatyczne, oddala jednak humanistykę od strefy naukowej, skazuje aktywność akademicką na żywot usługowy wobec stereotypowo i praktycyistycznie postrzeganych kompetencji zawodowych studenta, osłabia elity, które przez stulecia budowały kulturę. System oceny, oparty wyłącznie na wskaźnikach ilościowych, promuje (na co wielokrotnie zwracano uwagę) działania koniunkturalne i niedojrzałe. Zapewne nie zostanie zaniechany; oby był doskonałony z uwzględnieniem tego, co jest owo-

cem postulowanej oficjalnie współpracy zespołów badawczych, to jest zbiorowych tomów monograficznych i syntetyzujących (rzecz jasna, poddanych weryfikacji recenzyjnej), a także – przede wszystkim – tego, co w humanistyce jest wartością swoistą, choć niewymierną liczbowo, to jest *humanitas* badaczy, z reguły przejawiającej się odmiennie niż zręczność w zyskiwaniu awansu.

Starożytni kodyfikatorzy projektu antropologicznego *humanitas-paidei* łączyli ją z *filantropią*. Również na drodze, jaką przemierzyła nasza humanistyka, wykrystalizował się imperatyw wierności nauce, pojętej jako szukanie prawdy ponad koniunkturami, a zarazem służby kulturze narodowej i społeczeństwu. W tej perspektywie, i w kontekście masowości kształcenia, zyskują aktualność działania promujące najbardziej twórczych i zdeterminowanych do pracy naukowej młodych badaczy, „aby stali się jeszcze lepsi”, jak głosi dewiza Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Idzie o trwałą wartość naukową odkrycia, ale też o przydatność prac w upowszechnianiu wiedzy o tradycji kulturowej oraz w kształtowaniu postaw społecznych – twórczych i owocnych, bo świadomych celu aktywności indywidualnej i zbiorowej.

W wypowiedziach najbardziej autorytatywnych Uczonych zaznacza się zdecydowana krytyka *status quo*. Diagnoza zjawisk kryzysowych – z pewnością niebezczesadna – powinna jednak zostać zrównoważona rozpoznaniem tego, co w obecnej, nieprzyjaznej humaniorom dobie globalizacji i standaryzacji, niesie z sobą potencjał pozytywny, a zatem zasługuje na nazwanie, podtrzymywanie i rozwinięcie. Trzeba więc życzyć gremiom i osobom decydującym o przyszłości pełnego przejrzania tożsamości humanistyki polskiej, Salomonowej mądrości rozstrzygnąć i stowarzyszonej z realizmem wyobraźni.

ALINA NOWICKA-JEŻOWA

Uniwersytet Warszawski

Podejrzanе słowo postęp – czyli pochwała umiaru

JACEK KUBIAK

Postęp naukowy i technologiczny ma dziś tyluż entuzjastów, ilu wrogów. Pierwsi oczekują po nim poprawy losu ludzkości, zwycięstwa człowieka nad śmiercią i naturą. Drugi widzą wyłącznie przyspieszenie zagłady gatunku homo sapiens i całej planety. Tak diametralnie różne opinie sugerują, iż żadna z nich nie jest prawdziwa. A przecież nauka i uczeni mają służyć w pierwszym rzędzie właśnie postępowi. Służymy więc dobrej, czy złej sprawie?

Spory entuzjastów i wrogów tego pojęcia trwają od niepamiętnych czasów. Krytycy zwykle żądają zakazania pewnych badań naukowych, gdy tylko pojawia się związane z nimi zagrożenie. Dziś takimi gorącymi tematami są: klonowanie człowieka, zastosowania genetyki molekularnej, trwałe modyfikowanie genomów ludzi, zwierząt i roślin, wszelkie badania militarne zwiększające „wydajność” zabijania. Z reguły zabiegi krytyków nie są jednak w stanie powstrzymać biegu wydarzeń. Przekonałiśmy się po wielekroć, że to, co jest wykonalne, wcześniej czy póź-

niej zostanie wykonane. Raz na wielką skalę, innym razem zaś na mniejszą. Przewrotna natura ludzka każe nam wypróbować każdą naukową nowinkę i sprawdzić na własnej skórze każdy pomysł. Jeśli chcemy więc postępu nauki, za czym idzie modernizacja naszego życia i szybki rozwój ekonomiczny, to powinniśmy najpierw oszacować cenę tego pomysłu i wiedzieć, czego się po nim spodziewać.

Ale czy my właściwie wiemy, czym jest postęp? Czy jest on zjawiskiem liniowym, ciągłym? Jakie jest jego tempo? Czy postęp przyspiesza, czy zwalnia? Odpowiedzi na te pytania filozofowie – poczynając od Michela de Montaigne’a, Francisca Bacona i René Descartes’a – szukają od dzisiaj.

Problem pojawia się już przy samej definicji postępu. Każdy filozof formułuje bowiem własną. Dla uproszczenia uznajmy więc, że chodzi o nowoczesną formę marzenia o osiągnięciu przez człowieka rajy na Ziemi, co miałyby spełnić się za sprawą rozwoju nauki i techniki. ►

► Postęp zawdzięczamy umiejętności porozumiewania się za pomocą znaków graficznych. Pismo umożliwiło bowiem przekazywanie i gromadzenie informacji. I to nie tylko w najbliższym kręgu – to zapewnia już sama mowa. Umiejętności mówienia, pisania i czytania różnią nas w zasadniczy sposób od zwierząt. W całym świecieżywionym tylko człowiek zdobył bowiem możliwości przekazywania własnych doświadczeń z pokolenia na pokolenie. Zdolności te są podstawowymi atrybutami człowieczeństwa i to one skazują nas na postęp.

W krajach postkomunistycznych słowo „postęp” kojarzy się nie najlepiej: z pseudonaukowym łysenkizmem Trofima Łysenki i Olgi Lepieszyńskiej, który zdeformował prace Miczurina i miał zaprzeczyć „burżuazyjnym” prawom genetyki Mendla i Morgana, z odwracaniem biegu syberyjskich rzek, konstruowaniem nowego człowieka i budowaniem świetlanej przyszłości narodów. Zarówno Trocki jak i Lenin, a później Stalin i Breżniew, a w Polsce – Gomułka i Jaruzelski, nie byli w stanie przyzwoicie wykarmić i odziać ludzi, którymi władali, co nie przeszkadzało im plasować się po stronie zakłamanego postępu. Dlatego takie wizje nie są u nas w cenie i nikt przy zdrowych zmysłach swych obietnic postępowaniem nazwać się nie ośmieli. Przekonał się o tym Lech Wałęsa, obiecując niegdyś drugą Japonię. Z tych samych powodów konserwatyści boją się słowa postęp jak diabeł święconej wody.

Postęp nie ma jednak wyłącznie politycznie przekłamanego znaczenia. Pierwszą zwartą teorię postępu opracował markiz Nicolas de Condorcet w dziele pt. *Szkic obrazu historycznego postępu ducha ludzkiego*. Największą jego zasługą było zerwanie z tradycyjną wizją, że starożytność była okresem niedoścignionego rozwoju myśli ludzkiej, czyli szczytem postępu. To on uświadomił ludzkości, że postęp jest przed nią, a nie za nią. On też jako pierwszy uznał religię za główną siłę hamującą postęp.

Doświadczenia totalitaryzmów XX wieku osłabiły pozycję progresistów. Ale już Georges Bernanos stwierdził w roku 1953, że „pesymizm i optymizm mają wspólny mianownik – nie widzą rzeczy obiektywnie. Optymista to szczęśliwy imbecyl, pesymista zaś to też imbecyl, tyle że nieszczęśliwy. Obaj są jak Flip i Flap”.

Uogólnienie Bernanosa odnosi się i do współczesnych – oczekujących od postępu bądź cudów, bądź zagłady. Tak właśnie wyraża się dziś często nasz stosunek do osiągnięć biologii molekularnej i wszelkich zabiegów biotechnologicznych. Przeciwnicy – jak za czasów ruchu niszczycieli maszyn w XIX wieku – wycinają doświadczalne pola ze zmodyfikowaną genetycznie kukurydzą i szczyca się, że ratują nas przed rzekomą katastrofą ekologiczną. Podwyższona temperatura umysłów (i czynów) w tej dziedzinie panuje w Europie, lecz promieniuje na cały świat. Bierze się ona z ignorancji, która od zawsze szła w parze ze strachem. Człowiek pierwotny, nie rozumiejąc skąd biorą się pioruny, bał się panicznie burzy i uznawał ją za objaw gniewu bogów. Dziś ten sam mechanizm tyczy GMO, a strach podsycany jest przez politykierską propagandę.

Nie lepiej jest jednak i u piewców zalet postępu. Ileż mieliśmy obietnic, że nowe metody leczenia zapewnią nam szczęście wieczne, albo że GMO pozwolą

wykarmić zagrożoną głodem ludzkość? Mantra, że przełom jest tuż tuż, zniechęca zblazowaną publiczność i zacierza rzeczywiste kształty postępu. A przecież mamy cudo przełomu XX i XXI wieku – Internet, uporaliśmy się z wieloma plagami od tysiącleci nękającymi ludzkość, wysłaliśmy sondy badawcze na odległe planety Układu Słonecznego, potrafimy szybko reagować na pojawianie się nowych chorób, produkując testy, szczepionki i nowe lekarstwa (nawet na raka czy AIDS – choć ciągle nie ma antidotum na wirusa HIV, to istnieją terapie przedłużające życie zakażonym). Nazbyt często zapominamy, że rak to nie jedna choroba, ale wiele różnych chorób. Na niektóre formy raka mamy od niedawna świetne medykamenty: Glivec na pewne białaczki, Herceptynę na raka piersi, Paclitaxel i Taxoter też m.in. na raka piersi. Uzyskaliśmy je dzięki możliwościom, jakie dają genetyka i biologia molekularna. Społeczna świadomość niezwykle szybkiego postępu w tej dziedzinie ginie jednak w potoku nowych obietnic, bo przecież nie ustajemy w poszukiwaniu nowych środków. Bywamy jak dzieci, które – obsypywane prezentami – nie potrafią cieszyć się z nowego podarku.

Brak umiaru w ocenie postępu wydaje się pochodną jego szalonego tempa właśnie. To ono bowiem kreuje potrzebę generowania kolejnych nowości. Tak było od zawsze, tyle że do niedawna mieliśmy czas na przetrwanie tego, co zdobyliśmy. Dziś, gdy niemal wszystko staje się osiągalne, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – a raczej komputerowej myszki – pryska czar nowości. Postęp zabija sam siebie, osiągając przerażające dla wielu tempo. Stąd metafora Williama Pfaffa o jego końcu, a za nim o końcu nauki (John Horgan) i samego człowieka (Francis Fukuyama).

Dziś informacje rozchodzą się z prędkością światła. Dzięki temu odnosimy wrażenie uczestniczenia w procesie światowego postępu. Kogo ganić za to, że codziennie obiecuje się nam nowości i roztacza świetlane perspektywy? Naukowców? Dziennikarzy? To przecież ich obowiązek. Problem w tym, że informacje bywają albo zbyt dosadne, albo źle rozumiane przez głodnych sensacji widzów, słuchaczy i czytelników.

Nauka obiecuje postęp, ale nie jest w stanie przewidzieć jego tempa. Jak jednak przekonywać decydentów i społeczeństwa łączące na badania naukowe bez podania choćby hipotetycznej daty uzyskania wyników? Naukowcy robią więc często po prostu zakład, a brane jest to bądź za oszustwo, bądź za przejaw pychy. Przypomnijmy tu Auguste'a Comte'a: „postęp nie odbywa się po linii prostej, on kluczy, porusza się zygzakiem”. Nazbyt często o tym zapominamy.

Do umiaru w percepcji postępu nawołuje francuski filozof, socjolog i politolog Pierre-André Taguieff. Tak „religię”, jak i „nihilizm” postępu proponuje zastąpić chłodnym racjonalnym myśleniem. Wbrew pozorom Taguieff wybrał drogę najtrudniejszą, gdyż wezwanie do umiaru nie porwie mas. Jednak to właśnie umiar – dziś towar jakże deficytowy – jest nam na początku szalonego XXI wieku potrzebny bardziej, niż zdajemy sobie z tego na co dzień sprawę. To w nim właśnie należy upatrywać ratunku przed końcem postępu, nauki i nas samych.

JACEK KUBIAK

* Autor jest absolwentem Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, dr hab. (*franc. directeur de recherche*”; co jest odpowiednikiem profesury). Od 25 lat mieszka we Francji. Pracuje w CNRS – w Institut de Génétique et Développement de Rennes i w Dept. Biologie et Génétique du Développement, Faculté de Médecine, Université Rennes. Pracuje nad mechanizmami molekularnymi podziałów komórkowych i rozwoju zarodkowego.